GŁOS

TYGODNIK POLSKIEJ MYŚLI NARODOWEJ

Rok V — Nr. 16 | Poznań, dnia 24 listopada 1935 | Cena 20 gr

Aleksander Rogalski, Poznań

„Przewodnik po beletrystyce"

Jeżeliby o arcydziele decydowała siła zainteresowania i różnorodnosć uczuć, jakie ono wzbudza u czytelnika, to „Poradnik po beletrystyce" Czesława Lechickiego snadnie możnaby oznaczyć mianem arcydzieła. Czyta się go jak najciekawszą powieść, podczas gdy „duszą miota wichr najsprzeczniejszych uczuć". Lecz nie powiedziałbym, żeby one były bardzo przyjemne. Człowiek nie lubi takich nieograniczonych wahań, dywagacyj, rozpiętości. Bo czuje się wtedy niepewnym. A niepewność nie jest przyjemnem uczuciem.

*

Tutaj nie można takiej czy innej oceny książki tłumaczyć prawowiernością lub nieprawowiernością krytyka, czy czytelnika, tem, czy on jest dobrym katolikiem, wzgl. zdecydowanym niedowiarkiem. Bo jednak nie wierzymy, by istotna prawowierność wymagała całkowitej rezygnacji z wymagań odpowiedniego poziomu intelektualnego, tolerowała zaś i przymykała oczy na rażące nonsensy, niesłuszności, fałsze, płytkość, powierzchowność, ograniczoność, ciasnotę i nieusprawiedliwioną apodyktyczność. Owszem, im kto będzie głębszym katolikiem, tem surowszym będzie sędzią wszystkiego, co z intencji katolicyzmu, jako wyraz jego poglądów na daną sprawę czy daną dziedzinę, powstało. Bo stać nas na odwagę, szczerość i objektywizm. Dobro naszej krystalizującej się i przybierającej na sile myśli katolickiej nie żąda pobłażliwości, tchórzliwych usprawiedliwień, apologij rzeczy, o których zdrowy rozsądek każe powiedzieć, że nie są wcale doskonałe.

*

„Przewodnik po beletrystyce" jest przewodnikiem ideowym, a więc na plan pierwszy w ocenie i klasyfikacji utworów wysuwa kryterja ideowo-moralne. Tego rodzaju rzecz mogłaby być bardzo pożyteczna, cenna i pożądana. Lecz należałoby zgóry się liczyć, że wartościowanie zjawisk sztuki kryterjami dla niej nieistotnemi spowoduje pewne tu i ówdzie przesunięcia. Mówimy „pewne" i „tu i ówdzie", bo niema żadnych innych dziedzin twórczości ludzkiej, któreby tak silnie ze sobą były związane, jak dziedzina literatury i moralności (w najgłębszem i najszerszem słowa tego pojęciu) — aczkolwiek elementarnemi, zasadniczemi dziełami sztuki są elementy estetyczne i one edcydują o tem, że to a to przechodzi do kategorji sztuki. Jest to prawda, którą się ostatnio coraz częściej stwierdza. Przeto utwór o niezaprzeczonych walorach literackich, może być moralnie zupełnie obojętny. Częściej jednak będzie moralny. Bo cóż to znaczy, że jakieś arcydzieło jest złe pod względem moralnym lub ideowym? To znaczy, że ono nie jest arcydziełem. To świadczy, że ma poważne defekty estetyczne. Te dwie dziedziny bardzo silnie się przenikają na terenie dzieła sztuki literackiej. Dzieło szkodliwe moralnie jest słabe pod względem artystycznym, bo przebija w niem wyraźnie gruba tendencja, a wszelka tendencja wyłażąca brutalnie z jakiegoś utworu neguje jego rzeczywiste walory artystyczne. To samo można powiedzieć o dziele o zbyt jaskrawej tendencji dodatniej.

*

Mimo to zdajemy sobie dobrze sprawę z ogromu trudności i niebezpieczeństwa takiego przedsięwzięcia, co „Poradnik po beletrystyce". Jeżeli w innych rodzajach twórczości dzieło jest wszystkiem, nie autor, to tutaj przeciwnie, pytamy się przedewszystkiem o kwalifikacje autora. Kultura moralna i estetyczna całych rzesz ludzi od niego będzie zależała, od jego smaku, od jego poczucia moralnego, od jego kultury rodzimej, od jego inteligencji, wykształcenia, od jego temperamentu, charakteru, sympatyj i antypatyj. Co za ogromny kapitał społecznej odpowiedzialności i zaufania w nim spoczywa!

*

Bo powiedzmy sobie z ręką na sercu, co to są kryterja ideowo-moralne? Czy to jest coś określonego, stałego, niewzruszonego, pewnego i uniwersalnego? Coś, co jest zawarte w przepisach, formułkach, p a r a g r a f a c h. A w naszym wypadku w katechizmie? Rzecz oczywista że nie. Nie jesteśmy tutaj wcale relatywistami. Istnieje wiele wypadków, gdzie można sąd w przybliżeniu słuszny wydać, ale więcej jest takich zjawisk i faktów, które są bardziej skomplikowane, subtelne i nieuchwytne do oceniania ich pod względem wartości ideowo - moralnych w formie kategorycznej i bezapelacyjnej: dobre, złe — niż się napozór i powierzchownie wydawać może. Szczególnie da się odnieść to do literatury pięknej, która przedstawia bardzo grząski i niepewny teren. I oto po tym bardzo grząskim i niepewnym terenie prowadzi nas przewodnik. Czyż oddamy się pod jego przewodnictwo, nie zapytawszy wprzódy o jego kwalifikacje, jako przewodnika? Możemy ich nawet nie znać dokładnie i szczegółowo, ale jedno musi mieć — **autorytet.** Czy pan Lechicki ma autorytet, jako przewodnik **ideowo - moralny** dla inteligencji katolickiej po **literaturze pięknej?**. Pytanie to pozostawiamy bez odpowiedzi. Natomiast chcemy podkreślić, że tak ogromnie ważną rolę autora przewodnika w tym rodzaju powinno się powierzyć specjalnej komisji, złożonej z osobistości wybitnych, z których każda byłaby autorytetem, czy to w sprawach wiary, wychowania, psychologji, etyki czy też literatury pięknej lub estetyki. To grono dopiero mogłoby reprezentować autorytet, któryby dawał rękojmię o już stanowczo większym procencie pewności, — że dobrze i rzetelnie swoje zadanie spełni.

*

Otóż wcale nie zdziwilibyśmy się, gdybyśmy w książce p. Lechickiego napotkali duże błędy. Tłumaczyłyby je trudności dzieła, niemożność rozpływania się w wątpliwościach, konieczność dawania krótkich, zwięzłych, jasnych, zdecydowanych osądów, bądź charakterystyk. Lecz skoro w samej przedmowie „Przewodnika" natrafiamy „co krok" na najróżniejsze sprzeczności, płycizny, niekonsekwencje, banalności i chaos, niby dużą orjentację, ale w rzeczywistości dużą dezorjentację, rzeczy, które dowodziłyby braku elastyczności i głębokości umysłu autora — wtedy do części istotnej „Przewodnika" przechodzimy z dużą nieufnością. Nie znaczy to, żeby wywody p. Lechickiego w jego dużej przedmowie były pozbawione swego rodzaju logiczności, słuszności, nawet trafności i oryginalności. Mogą one zrobić i dodatnie wrażenie. Ale o tem wszystkiem możnaby powiedzieć, parafrazując i odwracając powiedzenie Dymitra Mereżkowskiego: „Największem zgorszeniem tych myśli jest to, że są one półgłębokie, półsłuszne, półprawdziwe".

Tak np. pisze autor: „Zgoła mylne jest mniemanie, jakoby walory literackie zdołały kiedykolwiek okupić bodaj częściowo i zrównoważyć jakiekolwiek defekty ideowo - moralne pisarza. Czyż okoliczność, że ktoś jest np. lekko-atletą, szybkobiegaczem, lotnikiem, może osłabić zarzut, że to drań i nicpoń duchowy? Czyż największy talent pisarski, lub wogóle artystyczny chroni przed ujemną klasyfikacją ideową? Przenigdy!"

Brak logiki jest tutaj widoczny. Autor użył tego porównania z atletą itp. po to, żeby argumentować słuszność następnego zdania, że talent artystyczny nie chroni nikogo przed klasyfikacją ideową. Lecz widać jasno, że mógł on go użyć w tym celu, ale wtedy, gdyby miało taki tenor: „Ktoś kto jest atletą, może być draniem duchowym właśnie jako atleta, podobnie lotnik właśnie jako lotnik, biegacz w swem biegactwie itp., a więc artysta mógłby być draniem duchowym, właśnie jako artysta, bo inaczej słusznie nasuwa się pytanie: Przepraszam, o co chodzi: Pan może powiedzieć tylko analogicznie do poprzedniego zdania: że artysta może jednocześnie podlegać klasyfikacji ideowej, jako **człowiek.** Ale autor tego rodzaju przekręcania robi często i bez zastanowienia tak, jakby liczył na łatwowierność czytelnika. A inne miejsce:

„Sama kultura nie poręcza jeszcze wysokiego poziomu moralnego. — Myli też Z. Wasilewski, kiedy powiada, że „człowiek — prawdziwie kulturalny jest etyczny, bo jest poza dowolnością pokusy, nie może robić źle". Gdyby tak było, wystarczyłoby ludzi ucywilizować, a już staliby się doskonali. Tymczasem warunkiem doskonałości jest nie kultura, lecz dobra wola, nawet prostaczkowi dostępna, jak wogóle każdemu, kto usiłuje spełnić obowiązki". Okazuje się, że autor nie zrozumiał myśli Wasilewskiego. A raczej zrozumiał ją — lecz po swojemu: płytko i banalnie. Zdanie Wasilewskiego moż podlegać dużej dyskusji, nie może go jednak dezawnować w ten sposób, jak to czyni Lechicki, który je potraktował dość banalnie. Gdyby przeczytał chociażby „Myśli o kulturze" Heydla w ostatnich zeszytach „Przeglądu Współczesnego", odniósłby przynajmniej tę korzyść, że nie mieszałby ludzi cywilizowanych z ludźmi kulturalnymi.

*

Inną sprawą jest kwestja objektywizmu. Lechicki pisze na str. 26: „Książka niniejsza pragnie służyć wszystkim przyznającym się do chrześcijańskiego poglądu na świat. Nie rządzi się jednak, ani nie krępuje względami na samo formalne wyznanie autorów. Przy ich ocenie miarodajne jest dla nas nie kto, ani gdzie, tylko co pisze i **jak?** (Zapamiętajmy to sobie dobrze! — dop. nasz). O religijności człowieka rozstrzyga i to, w co on wierzy i to jak on żyje — Podobnie dla zbadania wartości pisarza decydującą winna być nie jego genealogja, metryka, paszport, czy praktyki zewnętrznej pobożności, lecz rzetelna odpowiedź na pytanie, o ile on swemi dziełami powiększa i polepsza duszę czytelnika".

Otóż mielibyśmy zastrzeżenia co do tego ostatniego zdania: o ile on swemi dziełami powiększa i polepsza duszę czytelnika. Kamieniem więc probierczym w ocenie danego dzieła jest czytelnik, jego dusza i jej polepszenie lub zgorszenie się recepcją dzieła. Lecz czyż to jest istotnie miara pewna i niezwodnicza? Co to jest czytelnik? Czy jest to coś jednolite w sobie, proste i niezmienne? Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że nie. Jakiego bowiem ma się tu czytelnika na myśli, jakiego czytelnika reakcją duchową kieruje się w osądzaniu utworu? Czy czytelnika przeciętnego, z szarej masy inteligenckiej, bezimiennego, — czytelnika o filisterskiej religijności, o powierzchownej uczuciowości, o umysłowości gładkiej, „inteligentnej", lecz niegłębokiej i ciasnej? Czy też czytelnika wyjątkowego, takiego — powiedzmy dobrzego receptora, najwartościowszej, najpoważniejszej beletrystyki, jakiego chcieliby mieć autorzy? To jest poważny problem, który został przez Lechickiego pominięty. Lecz który typ czytelnika stal się dla niego miarodajny, przekonamy się o tem niebawem.

*

Wreszcie jedna uwaga. Jak stwierdza p. Lechicki — „czynnik erotyczny rozstrzyga w treści 90 proc. beletrystyki", z tego zaś procentu większość utworów o ustalonej randze artystycznej i poczytności dużej sklasyfikowana została w „Przewodniku" negatywnie („kult fallusa", pornografja itp.), a bardzo często wręcz i potępiona. Nasuwa się wtedy paradoksalne pytanie: Jeżeli wpływ tej literatury jest istotnie tak destrukcyjny i demoralizujący, jak to stwierdza autor, to i czytelnicy muszą być kompletnie zdemoralizowani, zdeprawowani. I to ta najlepsza grupa czytelników, która bądź co bądź ma na tę literaturę zapotrzebowanie. W jakiej atmosferze wychowaliśmy się — w jakiej atmosferze sami wychowujemy! Jesteśmy chyba beznadziejnie upadli. Czyż Lechicki nie zapóźno wybrał się z krucjatą? . . .

*

A teraz sam „Przewodnik". Dzieli się on na trzy działy. Beletrystów obcych, tłumaczonych na polski, beletrystów polskich od Kraszewskiego do współczesnych i dodatek, obejmujący autorów z pogranicza beletrystyki, publicystyki i nauki. Utwory segreguje według czterech kategoryj: I) powieści dla młodzieży, II) powieści dla wszystkich, III) tolerowane, IV) niebezpieczne, szkodliwe.

*

Rysem ujemny, który uderza nasamprzód, jest niekonsekwentne posługiwanie się w charakterystyce utworów kryterjami moralnemi. Aczkolwiek niektóre z nich bez zastrzeżeń umieścił w kategorji drugiej (dla wszystkich), to jednak nie pisze o nich zachęcająco, a to ze względu na rzekome mankamenty artystyczne. O Andersenie pisze Lechicki, że jest wybitnym współczesnym pisarzem duńskim, lecz w jego charakterystyce wcale tej wybitności nie pokazuje, raczej go degraduje. „Niektóremi rysami przypomina Hamsuna, lecz w gorszem wydaniu. Pisze rozwlekle i dość nudnie. Psycholog niezgorszy, ale mało subtelny i nie dość zróżnicowany, z wyraźną skłonnością do pesymizmu . . . II) „W kraju szczęśliwym" (nużący, szary i jednostajny obraz życia wiejskiego w Danji).

III) „Ditta", „Nad morzem", „Grzech", „Czyściec", „Ku gwiazdom" (...z talentem i sercem napisane, ale zostawia **przykre wrażenie**), Barclay Florancja „. . . chociaż moralnych usterek niewiele i tendencja zawsze szlachetna, jednak z uwagi na przeciętny artyzm i pewną kołowaciznę treściową, na **specjalne polecenie nie zasługuje**".

Jedyne dzieło konwertyty katolickiego Baringa Maurycego, oszacowane „dla wszystkich" — „Tunika bez szwu", określone zostało jako cykl banalno-wodnistych, a mocno pretensjonalnych rozmów na pseudo - inteligentne tematy, w gruncie rzeczy nudnych, zwietrzałych i bladych". Tomasz Mann to jeden z nielicznych pisarzy, których Lechicki darzy całkowitą sympatją. Zdawałoby się, że ponieważ tak mało jest pisarzy, którzyby zdrowie moralne łączyli z pierwszorzędnemi walorami artystycznemi, Mana będzie autor mocno propagował. Aliści o największych jego dziełach czytamy, horribile dictu! . . . II) „Budenbrookowie" **dość nudny**, epos mieszczaństwa niemieckiego, degeneracja kilku pokoleń, odpowiada „Sadze rodu Forsytów" (Galswortego, mocno zdyskwalifikowanej moralne), ale bez jej ironji, sarkazmu (tylko?)".

„Czarodziejska góra" (**bardzo rozwlekła** uczuciowa analiza psychologji pensjonatowego życia codziennego gruzlików w Davos, rozmów, zabaw towarzyskich, plotek, flirtu, gier etc...)" Ładna zachęta, prawda?

Nawiasem mówiąc pieczątką z napisem: „Nudne, nużące, rozwlekłe" autor posługuje się nader często, przyczem, usiłując być samodzielnym i oryginalnym, wyciska ją tam, gdzie raczej innej formułki się spodziewalibyśmy. Tak np. Huxleya: „Ostrze na ostrze", stanowiące nadzwyczaj fascynującą lekturę określa Lechicki: „w sumie nudne, rozwlekłe i bardzo niezdrowe".

*

Jakkolwiek jest, pieczątka wraz z sądami dotyczącemi techniki literackiej (!) kompozycji (!) stylu(!) itp., od których roi się w książce, zabarwia „Przewodnik" ideowo-moralny elementem mającym mało wspólnego z wartością etyczną utworu i to w ten sposób i w tym stopniu, że dezorjentuje czytelnika, bo jakiem prawem Lechicki tak kategorycznie i bardzo, bardzo subjektywnie narzuca nam sąd estetyczny? Jaką wartość artystyczną ma dane dzieło, o tem zasięgniemy opinji u miarodajnych estetyków, historyków literatury i krytyków literackich i jeżeli nie można było pominąć tej strony beletrystyki, to trzeba było posługiwać się sądami już ustalonemi przez krytykę, a nie wprowadzać swojego zdania, zawyczaj fałszywego, bałamutnego i mocno pretensjonalnego. Tu już brak autorowi nawet cienia autorytetu.

Chociaż autor nie omieszkał zaznaczyć, jak widzieliśmy, że nie będzie kierował się genealogją, metryką i praktyką zewnętrznej pobożności pisarzy, to jednak niestety bardzo często tę chwalebną zasadę przekracza. Baudelaire to zboczeniec płciowy, Barbey d'Aurevilly miał wybryki erotyczne, Chateaubriand prowadził życie rozwiązłe, Constant Benjamin to „marny bardzo charakter" (szuler, rozpustnik)..." Merimée „licha figura: nieochrzczony poganin, egoista i epikurejczyk bez charakteru..." Musset hołdował różnym nałogom i prowadził żywot rozwiązły". Choromański „jest cynicznym erotomanem". Zapolska „należała do gatunku „urodzona hetera", skandalicznie żyła, skandalicznie pisała". Dosyć! Wystarczy!

Teraz nawet najbardziej lojalnie usposobieni do autora, zaczynają tracić doń zaufanie.

Konfrontacja dalszego postulatu, jaki sobie wymierzył autor, mianowicie, że będzie tylko brał pod uwagę co i **jak** pisze twórca, — z jego realizacją, też nie wypada zadowalająco. Najbardziej dla Lechickiego decydującą jest tematyka. A więc pisarz, **który** porusza tematy t. zw. drażliwe, lub nie daje umoralniającego zakończenia odrazu idzie pod pręgierz. Jedno z najwspanialszych i najwznioślejszych dzieł literatury współczesnej, wstrząsające „Pod słońcem szatana" Bernanosa, całe nawskroś przeniknięte krwawem zmaganiem się ze złem, jest przez Lechickiego zaledwie tolerowane. Dlaczego? Bo chyba jest zbyt dla autora przewodnika głębokie. Jakżeż śmiesznie przeto brzmi jego zdanie, że Bernanosowi „nie dostaje głębszej kultury religijno - moralnej"!

Maurjac, jeden z reprezentatywnych pisarzy francuskich, katolickich nie podoba się Lechickiemu, ponieważ „lubuje się analizą zboczeń i wypadków obyczajowych, [illegible] znajomość odcieni rozpusty i psychologji erotomanów". „Sędzia pobłażliwy (?) wprowadza z premedytacją w arkany zła — dobro zaś nader blado i szczupło u niego wychodzi... Moralista z niego wątpliwy (?) i dwuznaczny (?), raczej kazuista, zręczny i wykrętny (?) — Żeromskiego „Dzieje Grzechu" określa Lechicki jako jedną z najsmutniejszych książek w literaturze polskiej i wprost upadlającą". Słowem autor patrzy tylko na to co autor pisze (i to od biedy), pomija zaś całkowicie **jak.** A przecież wiemy dobrze, że tematyka, faktura, osnowa itp. dają nam tylko bardzo zewnętrzne i chwiejne kryterja moralnej oceny utworu literackiego. Najważniejszy jest tu raczej klimat moralny i duchowy, w jakim żyją bohaterzy powieści, osobowość moralna pisarza, przenikająca nieuchwytnie i subtelnie świat przezeń tworzony, którą trzeba umieć odczuć, odkryć, zrozumieć, ocenić. Lecz do tego potrzeba dużej wrażliwości, wnikliwości i kultury duchowej.

*

W ten sposób dotykamy najwłaściwszej strony „Przewodnika", bo kryterjów moralno - ideowych. Sądy Lechickiego o Zapolskiej, Grzymale-Siedleckim, (pisarz o chwiejnem poczuciu moralnem, reprezentujący powierzchowne uświadomienie religijne . . ., który na swawolę obyczajów, patrzy przez palce, bo ma słabość do tęgiej męskości (czyt. niekiedy samczości), o Zygmuncie Wasilewskim (...„Stosunek Wasilewskiego do chrześcijaństwa jest poprawny, ale chłodny", indyferentyzm moralny), Kudliński („poczucie moralne słabo wyrobione) Maurjacu, Dostojewskim („pisarz straszny, lektura wstrząsająca i rozstrajająca, wymagająca tęgich nerwów i ustalonej równowagi duchowej. (...W tym szpitalu „upadłych i szalonych mało kto może wytrzymać"), o Bourgecie (Bourget dosłownie nie może długo wytrzymać bez grzechu) „nie widać u niego aż prawie do ostatnich lat odwrócenia do upadłych, do sprawiedliwych, nie widać zmiany środowiska i wejścia między zdrowych", bardzo dodatnie ustosunkowanie się do Selmy Lagerlöf i Tołstoja, żeby na tem poprzestać — to wszystko ujawnia mentalność mieszczucha, z jej niechęcią do skomplikowań, do pesymizmu i sceptycyzmu utworu, do dużego wysiłku myślowego, w zrozumieniu utworu literackiego, z jej tchórzliwą bojaźnią przed wywołaniem u siebie **niepokoju,** z jej sympatją do prostolinijności, do rzeczy, które napawają zdrowym optymizmem, pocieszają, dają wytchnienie, są łatwe w konsumowaniu, mają wyraźną tendencję, żeby nie potrzeba było się specjalnie domyślać, moralizatorską, itd. itd. — Oto, jakiego czytelnika miał stale na oku Lechicki, pisząc swój „Przewodnik".

*

Dodatnie strony? Owczem ma je i „Przewodnik". Lecz rzecz prosta, trudno po tem wszystkiem spodziewać się, by miały duże znaczenie. Wynikają one jako rzecz zupełnie naturalna, konieczna z rodzaju charakteru pracy. A więc to, że „Przewodnik" jest dziełem dużej erudycji i pracowitości, że orjentuje dobrze w bibljografji przekładów literatury obcej na polski, że daje ciekawy materjał do refleksyj historyczno - literackich, że zawiera niejeden słuszny sąd, niejedną trafną i dobrą charakterystykę. Jednak podstawa zasadnicza „Przewodnika" jest zła, fałszywa, chybiona.

(Dokończenie na stronie 4-tej)

Ludwik Jaxa Bykowski, Poznań

ARYSTOKRATYZM NAUKI

Właściwa praca naukowa nie jest pracą popularyzatorską, lecz badawczą i odkrywczą. Jej celem zdobycie nowych wiadomości w danej dziedzinie wiedzy, poznanie nowych faktów, a w dalszym ciągu, przy uwzględnieniu także dawniejszych wiadomości usystematyzowanie ich i wyjaśnienie w naukowych uogólnieniach. Praca więc teoretyczna, która jednak może znaleźć i praktyczne zastosowanie, ale to nie jest czemś istotnem.

Nie każdy do takiej pracy się nadaje. Nauka wprawdzie nie jest tak bardzo arystokratyczna, jak sztuka. Prawdziwym artystą trzeba się urodzić, w nauce epokowych dzieł również dokonać może tylko wrodzony talent, jeśli nie genjusz, Ale, jak powiada J. Tur, „na gmach Nauki składają się i pomnikowe płyty, znaczące etapy ludziej myśli, jak prace Newtona, Lavoisiera i Darwina — i cegiełki mniejsze, a przecież pożyteczne niezmiernie, na które zawsze miejsce się znajdzie — byle ręką sumienną i oddaną wyrobione były. A nawet drobny żwir uczciwie zebranych faktów pomniejszych, przyczynków, choćby nikłych pozornie — może odegrać swą rolę w wielkim wspólnym dorobku twórczych wysiłków". Uczonym więc w ścisłym tego słowa znaczeniu zostać łatwiej, niż prawdziwym artystą, niemniej niezbędne są pewne warunki, pewne kwalifikacje wrodzone i nabyte. Postulatom stawianym nie każdy może uczynić zadość, w tem więc znaczeniu można mówić o „arystokratyzmie nauki".

Pierwszy, bezwzględny postulat, to umiłowanie prawdy, dążenie do wiedzy coraz dalszej, chęć samodzielnego jej zdobywania, a więc żywiołowe pragnienie pracy badawczej. Wtedy prawda staje się zasadniczym „celem w sobie", nauka „wprost potrzebą życia". Wobec niej bledną i zanikają wszelkie doczesne rozkosze i pragnienia świata, dla niej owszem człowiek gotów nietylko zrezygnować z nich, ale narazić się na przykrości i bóle fizyczne i moralne. Idący do więzienia Galileusz, narażający własne oczy Y. Delage, poświęcający zdrowie i życie w ofierze nauce T. Godlewski — to wzniosłe przykłady owej mocy, na którą nie każdy potrafi się zdobyć.

Drugi niezbędny warunek, to cierpliwość i wytrwałość. „Genjusz, to tylko długa wytrwałość" — powiedział Jerzy Buffon. Wyjątkowo jakiś szczęśliwy przypadek pozwoli na natychmiastowe dokonanie odkrycia naukowego, z reguły zdobycz naukową osiąga się z trudem po czasie nieraz długim i licznych nieudałych próbach. Przedwczesne wnioski, oparte na niedostatecznej ilości spostrzeżeń, łatwo mogą okazać się bezpodstawne i błędne, dla nauki szkodliwe. Wyjątkowo genjalna intuicja od razu doprowadzi do rezultatu, a i wtedy trzeba dokonać skrupulatnego i czasem długotrwałego sprawdzenia, zwykle jednak dochodzi się do prawdy powoli i z mozołem, wśród trudu, niepowodzeń i omyłek. Przez ile nieudałych prób Bernard Palissy doszedł do odkrycia swego sposobu sporządzenia emalji, ilu lat i jakich ofiar trzeba było na dokonanie syntezy sztucznego indyga. Ksiądz Grzegorz Mendel oparł swe liczbowe prawa dziedziczności cech przy krzyżowaniu na obserwacji 10.000 grochów, L. Pasteur zbadał 50.000 jedwabników nim poznał istoty ich zarazy i uratował w ten sposób przemysł jedwabniczy Francji; Tower, Wilson, Morgan Bridges i inni amerykańscy biologowie opierają swe teorje budowy i konfiguracji chromozomów na krociowych wprost obserwacjach.

Jeśli jednak należy być ostrożnym i nie spieszyć się ze zbyt pochopnem wyprowadzeniem wniosków naukowych, tem bardziej ich publikowaniem, to z drugiej strony należy przestrzec przed zbyt drobiazgowym i ciągle skrupulizującym pedantyzmem, który pragnąc pełnej doskonałości, nie może się zdobyć na ogłoszenie swych prac, jako jeszcze niewykończonych. Tymczasem życie mija, my nie jesteśmy doskonałymi, więc i nasze dzieła nie mogą być bezwzględnie doskonałe. W młodości żałuje się straconych lat, w wieku dojrzałym miesięcy, pod koniec nawet tygodni... „Uczony — powiada J. Tur, — musi przez życie swe całe żałować nietylko godzin, lecz minut... Życie nasze rozkłada się na dwie fazy: w pierwszej możemy być anatomami, w drugiej — preparatami anatomicznemi. Korzystajmy więc, póki czas, z fazy pierwszej!" Umiejętność odpowiedniego rozkładu pracy i rozkładu godzin, bez rozwlekłych przygotowań jałowych, bez szkodliwego pośpiechu, cechującego ludzi najczęściej się spóźniających, bez marnowania „zbywających kwadransów", a równocześnie bez monotonji, mechanizacji, znużenia i wyczerpania — to wszystko warunki wydajności pracy każdej, a naukowej i twórczej w szczególności. Tu ma znaczenie też doświadczenie czasu, jak najumiejętniej pogodzić największą wydajność pracy z jej ścisłością i dokładnością, a równocześnie ile możności unikając zmęczenia i znużenia. Mają tu też głos indywidualne skłonności i zwyczaje: Voltaire miał podobno w swym gabinecie kilka pulpitów z prowadzonemi pracami i gdy zmęczył się jedną, przechodził do innego tematu. Dla mnie osobiście również zmiana jakości pracy stanowi odpoczynek, wielu jednak woli pracę jednolitą i ciągłą, a odpoczynek musi stanowić przerwę zupełną przynajmniej w dziedzinie umysłowej. Rzecz to indywidualna.

Wreszcie trzeci postulat, najbardziej arystokratyczny, bo wrodzony i związany z daną jednostką, a który tak zewnętrzne warunki, jak własną pracą mogą rozwinąć i spotęgować jedynie, ale ani stworzyć ani zmienić zasadniczo. Chodzi mianowicie o wrodzony zmysł badawczy w określonym kierunku, pewną swoistą zdolność, wynoszącą badacza nad szary ogół, która pozwala mu spostrzegać nieznane fakty, intuicyjnie wybierać tematy i snuć przypuszczenia. Ta zdolność umożliwia mu pracę naukową bez względu na porę i okoliczności, wskazuje wartości obok których ogół przechodzi obojętnie, roznieca myśli, które później wydadzą się nietylko jasne, ale niemal oczywiste i konieczne, ale przedtem były nieznane. Chwile takiego jasnowidzenia naukowego jawia się rozmaicie, czasem jako owoc długotrwałych studiów, prób i rozważań, ale czasem nasuną się przypadkiem wskutek jakiejś okoliczności, jak Darwinowi zaświtała zasadnicza myśl jego teorji w czasie podróży bogatej w nowe spostrzeżenia, czasem jawi się nagle, jak Newtonowi przy spadającem jabłku, Galvaniemu przy sprawianiu żab, czy Archimedesowi podczas kąpieli. Niema więc tutaj jakichś godzin urzędowych, ani sposobów niezawodnych: niezbędna jest tu „cudowna iskra Boża", która u jednych może rozpali się w olbrzymie słońce, u innych będzie tylko tlić od czasu do czasu, rzucając małe płomyki, która jednak jest niezbędnym warunkiem wszelkiej twórczości.

Dla szarego ogółu, nie mającego tych kwalifikacyj, zawód uczonego przedstawia się często jako rodzaj dziwactwa. Zapewne, nie jest karjerą, w tuzinkowem znaczeniu, a w dzisiejszych czasach nieraz nie znajduje uznania nawet u szczytów, nietylko u dołu. Więc wybierać go powinni tylko ci, którzy nietylko mają potrzebne uzdolnienia intelektualne, ale i siłę charakteru dla pokonania trudów i przeciwieństw. Takim powtarzam słowa entuzjasty nauki prof. Jana Tura: „Wejrzyj w siebie, ciężką obierasz drogę, ale skoro siły potemu czujesz i inaczej nieszczęśliwym będziesz — idź tą drogą".



„Kwiat paproci" (linoryt)
E. Kowalski, Kraków

Konstanty Dobrzyński, Łódź

OJCZYZNA

Tu mój dom, w którym schody pracowicie trzeszczą,
rynsztok i ulica.
W lewo park — liście w górze kolując szeleszczą.
Miasto w niebo wyciąga dymiące tchawice.

. . . .

Ja wiem, że za miastem
rozciągnęły się pola, jak struny mandolin
nakręcone na gryfy wysmukłych topoli,
a na nich, motykami schylone niewiasty
pod batutą jesieni zdążającej z ponad —
wygrywają melodję kartoflanych sonat.

Ja wiem.
Wiosną pług lśniące wargi ułoży na skibach.
Wiatr czarnemi palcami zbronuje ugory.
Wyjdzie on — brat mój, siwy Piast z sadyby;
w pustem polu przystanie na tle sinych borów...

Potem ruszy miarowo, powoli przez pola,
przepasany szeroką, wielką płachtą nieba,
jakby słońce przyzywał zakreśli półkola,
dłonią czarną, spękaną i pachnącą chlebem.

. . . .

Wyjdą łąki naprzeciw z kwiatami we włosach,
będą maić przydrożki, miedze i ogrody.
Sady, usta wiśniowe podadzą niebiosom,
wstydem sponą jabłonie, prężąc piersi młode.

Łany będą wzorzyste, jak łowickie pasy,
żyta rzęsą przysłonią swe chabrowe oczy —
będą patrzeć pod słońce czy zdala od lasu
kosynierów bartkowych huf czasem nie kroczy.

. . . .

Zimą znowu, śnieg modry swe puszyste łapy
oprze cicho na dachach i zajrzy do sieni.
Czasem głód pajęczyną zwiśnie u pułapu.
Prządka troskę wysnuje z kołowrotka wrzenia.

Przymknę oczy; wsie miasta zahucza mi w głowie,
gdy otworze — dłoń znana, dłoń bardzo kochana
poda mi, jak swe serce ciepłe, polskie słowo
i przytuli mi do ust, ust łzami oblanych.

. . . .

A to wszystko tak święte, aż tchu brak by wyznać,
tylko czuję w antenach żył kłębnych pod torsem
jak mi krew wystukuje rozszalałym Morsem
wyraz ogniem piekący, szkarłatny - O J C Z Y Z N A.

Aleksander Kośmiński, Lwów

Zwycięstwo wielkości

Otośmy wszyscy ze szkoły ognia,
jak miecz prości i czyści,
w obóz wielkości rosnący co dnia,
w karnej pokorze, w dumie cierpienia...
Pieśń nasza w morze głosów się rozlewa —
— z rozpędem lawin wzrastamy w wielkość.
Wielkość w sercach o zwycięstwie nam śpiewa
spiżowym głosem młodości.

Brzeg, oniemiałych starczym strachem, roztrąca
narodowej woli fala rosnąca, wrząca...

— — — — — — — — — —

O Przebolesna Matko Siedmiu Mieczy!
Daj! — by nasz stał się mieczem
wytrwania, wiary i męstwa —
radośnie czystej, Polską dyszącej młodości.

4

Początki tajnych związków w Polsce

W chwili, gdy zaczynał się „potop", sami żydzi (nie licząc tajnych związków, istniejących śród chrześcijan, a poufnemi niemi z żydami związanych) odgrywali już w Polsce niemałą rolę. Wspomniano już wyżej o wpływie, jaki wywarło rozpanoszenie się żydów na wybuch buntu Chmielnickiego. Całą wogóle katastrofę Polski w epoce „potopu" niektórzy ze współczesnych przypisywali m. in. roli żydów w Polsce[1].

Ale rola żydów przed „potopem" jest niczem w porównaniu do roli, jaką zaczęli odgrywać w Polsce po nim.

Polska, wyniszczona gospodarczo przez wojny i przewroty, stała się dla żywiołu żydowskiego łatwem żerowiskiem.

Po „potopie" powtórzyło się w Polsce zjawisko znane nam już z wieku XIII-go, opanowania miast w Polsce przez żywioł obcy. Gdy po najeździe hord tatarskich dawne polskie miasta, wyrastające organicznie z gleby miejscowej, poszły z dymem — zjawiła się w Polsce miejska kolonizacja niemiecka, która zasiała Polskę mrowiem miast niemieckich. Miasta te uległy z czasem spolszczeniu. Ale gdy poszły w ruinę w epoce „potopu" — w polskiem życiu gospodarczem wytworzyła się ponowna próżnia, którą tym razem wypełnił element żydowski. I tym razem znowu cała Polska zasypana została mrowiem miast i miasteczek o ludności obcej, tym razem żydowskiej.

Prawdopodobnie dopiero w wieku XVII zjawił się w Polsce „żargon" żydowski niemieckiego pochodzenia — przyniesiony do Polski wraz z jej zalewem przez żydów niemieckich. Przedtem żydzi w Polsce mówili zdaje się po polsku.

. . .

Nie jest to bynajmniej przypadek, że upadek i rozkład Polski zaczął się z tą chwilą, gdy jako zjawisko masowe pojawili się w Polsce żydzi.

Rola żydów w Polsce przedrozbiorowej była dużo większa, niż dziś szeroki ogół przypuszcza.

Byli oni niemal wszechwładni w dziedzinie gospodarczej. Zastąpili oni mieszczaństwo w większej części jego roli handlowej, — szlachta, korzystając ze swoich przywilejów celnych i innych, a nie mogąc się handlem trudnić osobiście, posługiwała się żydami, w praktyce stając się parawanem dla ich działalności. Każdy szlachcic był związany silnemi węzłami stosunków gospodarczych z jakimś żydem, lub grupą żydów, — był od niego w niemałej mierze uzależniony, a w późniejszym okresie (za Sasów i później) nieraz nawet ulegał jego wpływowi w dziedzinach, z życiem gospodarczem nic nie mających wspólnego: uważał go za swojego stałego doradcę, opierał się na dostarczanych przez niego informacjach, plotkach politycznych itp. W okresie postępującego upadku Rzeczypospolitej, czynnikiem przewodnim w Polsce była swoista symbioza szlachecko - żydowska, w której stroną, mającą prawa formalne, była szlachta, lecz stroną, inspirującą sposób korzystania z tych praw, byli żydzi.

Jak wielki w pewnym okresie (poczynając od czasów saskich) stał się wpływ żydowski na szlachtę, a zwłaszcza na jej najgórniejszą, najsilniej zarażoną tajnemi związkami warstwę (magnaterję) dowodzi choćby tylko ten jeden fakt, że kilku wybitnych magnatów polskich przeszło wówczas na wyznanie mojżeszowe, a mianowicie Marcin Lubomiski i Marcin Radziwiłł[2]), a podobno prócz tego jeszcze, zmarły około 1746 Walenty Potocki[3]), a nawet rzekomo i słynna hrabina Cosel, kochanka Augusta Sasa[4]).

Szczególnie dużo znaczącą formę wpływu żydowskiego w Polsce było uzależnienie od nich mnóstwa osób i instytucyj — od królów i władz Rzeczypospolitej zaczynając — w dziedzinie finansowej i kredytowej. Nawet tak wysokiej miary postać, jak Jan Sobieski znalazł się pod koniec życia w ogromnej zależności od żyda Becala, dzierżawcy i administratora dóbr rodziny królewskiej, oraz dzierżawcy ceł i kopalń. Sędziwego króla do tego stopnia on od siebie uzależnił, iż „doszło do tego, że Becal naznaczał taksę dla kandydatów na wakujące urzędy". „Becala uważano powszechnie za jakiegoś ministra państwa, a nie za prostego dzierżawcę. Urzędy, starostwa i inne posady, z wyjątkiem województw i dygnitarstw wielkich koronnych, dostawały się ludziom, którzy się o nie wprzódy z Becalem umówili". (Został on zresztą jeszcze za życia Sobieskiego skazany na karę infamji i konfiskatę majątku.)[5])

Słynny wiedeński bankier żydowski Samson Wertheimer, zapewne bardzo wybitna postać w Izraelu, w dyplomie rabinackim, nadanym mu przez gminę żydowską na Kazimierzu Krakowskim nazywany „księciem w Izraelu i naczelnikiem wygnania" nietylko, że sfinansował wybór Augusta II Sasa na tron polski, lecz finansował później jego udział w wojnie północnej, — a równocześnie subwencjonował ludność żydowską w Polsce, ponoszącą straty dzięki działaniom wojennym[6]). (Mamy tu do czynienia z faktem zupełnie analogicznym do tego, który zaszedł w naszych czasach: gdy żydzi amerykańscy subwencjonowali rewolucję rosyjską, a zarazem łożyli olbrzymie sumy na ulżenie doli żydom rosyjskim, przez rewolucję poszkodowanym, co było wynikiem tego, że rewolucja rosyjska leżała w interesie narodu żydowskiego, jako całości, lecz równocześnie godziła w niektóre interesy partykularne żydów rosyjskich, czemu właśnie starano się zaradzić).[7])

Tak znaczna rola żydów w Polsce i ich tak wielki wpływ, zarówno na czołowe osobistości polityczne, jak na szeroki ogół szlachecki, głosujący na sejmikach i elekcjach i stanowiący masę społeczeństwa, byłyby destrukcyjne i rozkładałyby naród i państwo nawet wówczas, gdyby żydzi z nich korzystali jedynie dla swych celów prywatnych i gdyby ich nie używali do przeprowadzania szerszych zamierzeń politycznych.

Ale tak nie było. Żydzi posiadali w Polsce cele polityczne bardzo wyraźne i określone. I posiadali organizację polityczną, zdolną cele te urzeczywistniać.

(C. d. n.)

[1]) Niechaj za dowód posłuży cytata z książki prof. dr. Stanisława Kota, zresztą wielkiego wielbiciela polskiej reformacji, „Rzeczpospolita Polska w literaturze politycznej zachodu", Kraków 1919 str. 118: „Dla przestrzeżenia Niemiec przed naśladowaniem zgubnej wolności polskiej ułożył bezimienny poeta — prawdopodobnie Jan Frischmann, agent francuski w Strasburgu — poemat p. t. „Casus mirus de casu Casimiri" (1655), w którym winę katastrofy przypisał wolnościom szlacheckim, skrępowaniu króla, oraz rozrostowi wpływów żydowskich". Myśl, że wpływy żydowskie mogły się przyczynić do katastrofy polskiej w w. XVIII-tym uderza dzisiejszego czytelnika, jako coś nieoczekiwanego. Ale tak samo, jako coś nieoczekiwanego mogłaby kiedyś, po latach, uderzyć czytelnika obfitej literatury o rewolucji rosyjskiej, w której nie wymieniane jest słowo „żyd", wiadomość, że do niedawnej katastrofy rosyjskiej w niemałej mierze przyczynili się żydzi. Czasem tak się zdarza, że współcześni więcej wiedzą, niż późniejsza nauka historji: bo zdrowy rozsądek i bezpośrednia znajomość rzeczywistości chroni ich przed daniem wiary przedstawieniom tendencyjnym.

[2]) Patrz: Jan Grabowski „Radziwiłłowie" str. 20 i J. I. Kraszewski „Polska w czasie trzech rozbiorów" t. I. str. 306. Cytuję za Rolickim op. cit. str. 262.

[3]) Patrz „Das Jüdische Lexikon", IV, str. 1073, Berlin 1930.

[4]) K. M. Morawski „Bractwo wrogów wstrzemężliwości", str. 503, „Kwartalnik Historyczny", Lwów 1934, III.

[5]) Patrz A. Rawicz „Z ostatnich lat Sobieskiego", „Myśl Narodowa" nr. 40 z dnia 17. IX. 1933.

[6]) P. Dr. Majer Bałaban „Studja historyczne" str. 131—132 oraz tegoż autora „Hist. i literat. żydowska" t. III str. 319. Cytuje Rolicki, op. cit. str. 260—261.

[7]) Patrz Zbigniew Krasnowski „Światowa polityka żydowska" Warszawa 1934. str. 108—109. Podkreślony tam jest fakt, że pomoc żydom rosyjskim po wojnie była przez żydostwo światowe uważana za ważniejszą niż pomoc Palestynie.

Jan Łęga, Poznań

Niemcy uczonego i żołnierza

Kiedy w zimowy ranek bohater Sienkiewicza Zbyszko z Bogdańca stawał do walki na topory z krzyżakiem Rotgierem, drżelismy ze wzruszenia i obawy. W czasie tych rycerskich zapasów, smiejąc się i smucąc naprzemian, odkrylismy, ze przyodziany w srebrzystą zbroję Zbyszko walczy nietylko toporem, ale i myslą. Pod medjolańskim hełmem pilnie czuwała rozwaga. Z za krat przyłbicy patrzyły oczy skupione i uparte. Znal on Niemców i umiał z nimi walczyć.

Gdy Rotgier, mimo swych zdradzieckich manewrów, runął na ziemię z rozpłatanym łbem, zrozumieliśmy, że zwycięstwo to w równej mierze jest zasługą Zbyszkowej siły i Zbyszkowej strategji. Krzycząc z uradowanemi Mazurami: „To ci chłop do topora", odczytywalismy opis rycerskiego boju poraz wtóry, trzeci, dziesiąty. Dzisiaj, kiedy tyle dawnych opowieści staje się rzeczywistoscią, miejsce toporów zajęły karabiny. Hełm pozostał. Znikł tylko po drodze romantyczny „pióropisz biały". Biedny Cyrano de Bergerac byłby dzis pewnie bokserem piszącym wiersze...

Twarde czasy wieloramiennej walki o byt narodowy uczą nas według sienkiewiczowskiej opowieści nietylko cenić pięść, ale i wiedzę o naszych bliskich sąsiadach. W ostatnich czasach uczony Marjan Zdziechowski[1]) i żołnierz, podp. Stanisł. Rola-Arciszewski[2]), zajęli się Niemcami. Wyniki dociekań pierwszego doprowadziły do sentymentalnego wzdychania nad grozą ducha pruskiego, drugiego do wniosku męskiego i jasnego, ze: „Bałwochwalcom strachu (tj. Niemcom) trzeba tylko okazać, że nie dla wszystkich jest on najwyższym autorytetem. Wtedy pokornieją. I to radykalnie, jak dowodzi historja." Zdziechowski i Arciszewski dają swoim wizerunkom psychologicznym szerokie tło filozoficzno - historyczne. Obaj zaczynają od Cezara. Arciszewski kończy na duchu Bismarcka, odradzającym się jak Feniks z popiołów. Zdziechowski skręca w pewnej chwili gwałtownie przed jedną ideą. Jest nią narodowy socjalizm. Gdzieś na stronie, buduje gwałtownie kapliczkę prof. Försterowi, którego mysl, że w Niemczech: „chrześcijaństwo to najsilniejsza antytoxyna przeciw wszelkim zarazkom przyrodzonych, samolubnych podniet i popędów", wali się niestety w gruzy pod hitlerowskim taranem. Niemcy dzisiejsze i zapewne Niemcy jeszcze kilku pokoleń będą Niemcami Hitlera. Brak w szkicu Zdziechowskiego obrazu duszy niemieckiej, podbitej przez tego człowieka, sprawia że wizerunek ten, jest niejako bez głowy. Jakże widoczny związek między imperjalizmem niemieckim a hitleryzmem, nie został głęboką filozoficzną myślą Zdziechowskiego związany. Dlaczego? Myślę, że przyczyna jest raczej intymna. Kto wierzy w posłannictwo Förstera, a widzi tryumf Hitlera, zapomina nawet w nauce o jasności. To jest taka mała sercowa tragedja wielkiego uczonego...

Nie zrozumiał on (a może nie chce?) współczesności, zrobił to za niego znakomicie żołnierz.

Na wstępie swej pracy bada Zdziechowski związek między rozumem a wolą niemiecką. Już Cezar widzi w plemionach germańskich energję, przedsiębiorczość, popęd zdobywczy. („Zajmują się oni tylko myśliwstwem i wojną, od najwcześniejszych lat starając się hartować fizycznie i nienawidzą pokoju, gardzą rzeczami ducha, gwałtowni są, namiętni.")

Dla zblazowanego Tacyta Germanie są narodem przyszłości. Tylko ich kłótliwość chroni Rzym od klęski („do tego doszło, tak już upadliśmy, że tylko ich niezgoda nas ratować może"). Ten brak dyscypliny doprowadził jednak dziwnemi drogami naród niemiecki do przysłowiowego poczucia ładu dyscypliny, zmysłu organizacyjnego (Kant „brak dyscypliny jest czemś gorszem od braku kultury"). Te drogi bada filozof Ryszard Müller-Freienfels. Według niego wola niemiecka jest niezracjonalizowana. Lecz rozum niemiecki jest czujny. Zrozumiano, że brak pierwiastków regulujących wolę doprowadza do anarchji. Uczony niemiecki stawia ciekawą djagnozę. Niemcy skompensowały w sobie brakujące im przymioty i w końcu przemieniły ten brak w nadmiar („Ueberkompensation"). Doszło do tego, że Niemiec zgina swoją wolę przed wolą wyższego, bo tego dobrowolnie pragnie (Wille zum freiwilligen Dienst), bo czyjąś potęgę woli (Wille zur Macht) sam uznaje.

Zgermanizowany Anglik H. S. Chamberlain chwali germanizm z fanatyczną gorliwością. „Freiheit und Treue to dwa korzenie, na których niemieckość stoi, albo lepiej dwa skrzydła, co duszę niemiecką unoszą ku niebu".

Fustel de Coulanges widzi w tężyźnie plemion germańskich wpływ cywilizacji rzymskiej, „bo poddali się cywilizacji przerastającej poziom ich umysłów". Wola została opanowana przez rozum i wykształciła typ dzisiejszego Niemca. Indywidualizm, albo romantyzm Niemców, najlepiej ujmują słowa Lessinga: „Gdyby Bóg stanął przedemną, trzymając w prawej ręce całą prawdę, a w lewej zaś tylko dążenie do prawdy nawet z dodatkiem, że dążąc, wiecznie błądzić będę, i powiedział: wybieraj, wybrałbym bez wahania to, co w lewej ręce i powiedziałbym: „Boże i Ojcze, prawda cała jest tylko dla Ciebie". Dlatego religijność niemiecka przez aryjski panteizm doszła do głębi mistycyzmu. Mistycyzm ten, wybitnie dynamiczny, nie znosi pośrednictwa w stosunku człowieka do Boga, stanął ościeniem przeciw nauce kościoła. Mistrz Eckhart i jego 17 twierdzeń heretyckich (pierwszeństwo łaski, wiara bez uczynków) rozpoczyna drogę tryumfu i drogę klęski mistycyzmu niemieckiego. Według Zdziechowskiego dzieło Luthra nie jest protestem przeciw nadużyciom władz kościelnych. Jest to tylko walka o zbawienie własnej duszy. Lecz bezsilność rozumu, słaba wola człowieka, — doprowadziły go do rozpaczy. W tej strasznej walce (Mickiewicz „Dziady": Tyś nie Bóg a Car) Luther załamuje się. Już tylko Bóg może się nad nim zlitować. Żaden papież, ani umartwianie, ani posty uratować go nie mogą. „Stajemy się sprawiedliwi nie przez uczynki nasze". Jakże innym jest Kalwin, którego francuska jasność i ścisłość uczyniły z jego nauki iście trampolinę logiczną. „Nie szukał on prawdy, (jak Luther) był on z urodzenia suchym i ciasnym biurokratą, człowiekiem od paragrafów..." Niemiecka logika serca jest według Zdziechowskiego szlachetniejsza od kalwińskiej „pathetische Unmenschlichkeit".

Filozofję niemiecką cechuje liryzm. Z kategorycznym imperatywem Kanta godzi się inne jego zdanie, że „dwie są wielkie rzeczy, niebo gwiaździste nademną, prawo moralne we mnie". Pryncyp rozumu praktycznego stał się filozofją życia niemieckiego, która ujawniła nawet anarchiczny egotyzm Fichtego. Hegel nadał myśli niemieckiej wyraz najdoskonalszy. „Wszystko co jest, jest rozumne — bo jest wyrazem idei". Znakomita jest uwaga Zdziechowskiego, że: „w słowach tych zawarł on (Hegel) esencję myśli i duszy niemieckiej; rewolucyjna i światoburcza w marzeniu myśl ta chce i umie być rozsądna w czynie i bez trudu dostosowuje się w rzeczywistości."

Dla Hegla państwo stało się największym tworem idei. Obywatelskość filozofji niemieckiej związała się ściśle z nauką (np. filozofja natury). Od niej już krok do życia praktycznego. Już Francuz V. Bérard uchwycił ten związek wyraźnie. „Pracowici, dokładni, sumienni, zadawalniali się małemi zyskami, stawali wobec narodów, z któremi wchodzili w stosunki handlowe i przemysłowe, jako przyjaciele i współpracownicy, umiejętnie dostosowywali się do gustów, do kaprysów klienteli swojej, te zaś przymioty wszystkie umieli łączyć z rozmachem jakimś w przedsiębiorstwach i w wyrachowaniach, z wiarą w siły własne, ogarniającą niepokojem, a nawet przerażeniem konsulów angielskich, którzy wyobrażali sobie, że dyscyplina wojskowa zabiła w nich ducha inicjatywy. Główną jednak przyczyną ich powodzeń, źródłem potęgi, którą pobili Anglję, samowładnie przedtem panującą na wszystkich rynkach świata, była, zdaniem Bérarda, wiedza, którą gardzono w Anglji. Najwięksi uczeni stawali na czele laboratorjów przemysłowych, najbogatsi kapitaliści na czele banków kupieckich, a jedni i drudzy robili to w imię obowiązku narodowego i społecznego, bo w kraju Kanta wszystko stoi na kategorycznym imperatywie obowiązku względem społeczności państwowej". Ku zdziwieniu świata nietylko organizowali handel lecz zbroili się przytem gwałtownie. Ten nowy, namiętny świat powoli wypiera chłodny uniwersalizm myśli niemieckiej (Herder, Goethe). Dalekie perspektywy myśli niemieckiej giną w biologicznej niejako idei chleba i przestrzeni. Filozofja niemiecka, zrodzona na wyżynach idealizmu, zapatrzona w „pochód Boga przez świat" (Der Gang Gottes durch die Welt), przeistacza się w narzędzie do pangermanistycznych, imperjalistycznych zamierzeń. Kompletny brak poczucia narodowo - niemieckiego w epoce przednapoleońskiej ustępuje powoli fanatyzmowi narodowemu, podsycanemu rosnącą mocą Prus. Z chwilą, kiedy Prusy uczyniły Niemcy pruskiemi, zaczyna być ceniony Macchiavelli. „W stosunku do innych państw niema i nie może być innego prawa, jak prawo silniejszego".

Filozofja Nitzschego stała się dla ulicy politycznym programem. Patrjotyzm Fichtego i brutalność Nitschego to dwie klamry, spinające myśl niemiecką wieku XIX. Angielski renegat S. H. Chamberlain olśnił do ślepoty umysłowość Niemców przedwojennych. „We wszystkich dziedzinach życia dziejowego, uważamy tych ludzi za największych i te czyny za najbardziej znaczące, które się najwięcej przyczyniły do rozwoju specyficznych właściwości ducha niemieckiego, najwięcej sprzyjały tryumfowi germanizmu". Od tych słów krok do zachwytów Wilhelma II i do krwawej masakry światowej. Dlaczego ją Niemcy przegrały? Według Keyserlinga potrafiły zorganizować wojnę, lecz nie natchnęły jej myślą polityczną. „Zorganizowani, posłuszni, mężni, stanęli do walki, ale państwo, któremu wszystkie siły poświęcili, kierownicy państwa, nie zdołali wyjaśnić sobie i narodowi, dlaczego wypowiedzieli wojnę, o co się toczyła, co, jako cel główny należało przed sobą postawić i kto głównym był wrogiem: Francja z Anglją, czy Rosją? Nie byli zdolni moralnie zdobywać i panować."

W zakończeniu swoich rozważań omawia Zdziechowski działalność i program znakomitego myśliciela prof. Förstera, którego wszechniemieckość, szczera chrześcijańskość obca jest panującemu duchowi niemieckiemu. Który z wodzów niemieckich rozumie słowa, że: „rzetelna jedność dwóch, zamiast ucisku jednego przez drugiego, mniejszość przez większość, jednego przez wielu." Duch Weimaru, „chrześcijaństwo w myśleniu, w tworzeniu i w czynie" (J. A. Luse) odpadł na brunatnym szlaku od Monachjum do Poczdamu.

Żołnierz Arciszewski w niewielkim rozdziale swojej książki, przeznaczonej dla kształcenia wyższych dowodów, dał szkic psychologiczny Niemców prosty i wyraźny.

Wojownik germański Arjowist jest wzorem wojownika i obywatela niemieckiego. Pyszny, arogancki, obłudny w negacjach, mówi u Cezara ze: „Nikt nie zmierzył się ze mną bez swego nieszczęścia." Te cechy pilnie pielęgnowali Hohenzollerowie, którzy „z Prus, lenna Polski, stworzyli światową potęgę". Poszanowanie dla siły zdobywano brutalnością. Przykład szedł z góry. Fryderyk Wielki, jako podpułkownik, był przez swego ojca bity publicznie kijem. Kiedy po niefortunnej ucieczce do Anglji stawiano go przed sąd wojenny, sędziowie skazali go na śmierć za dezercję. Dopiero ojciec musiał łagodzić gorliwość służalczych sędziów. Ten „drill" przeżarł umysły. Jakiego wyrazu nabiera pod piórem żołnierza cytat z Hardena: „Wola pruska czuje się zawsze w stanie wojny; a chociaż nie okazuje oczom pancerza, miecza, szpady czy puginału, używa zawsze tych środków, które dla wojownika są uświęcone przez cel. U każdego widzi najgorsze zamiary, śmieje się z głupca, wierzącego w braterstwo ludzi i szlachetność, a sprawę swoją opiera tylko na przemocy i na strachu przed użyciem jej". Podstęp i teror od czasów Cezara stanowią dumę niemieckiego ducha. Od margrabiego Gero po marsz przez Belgję w r. 1914 przewija się ciągle nić tych „cnót" patrjotycznych. Kończy Arciszewski swoją bajeczną charakterystykę takim męskim akcentem: „Duch teroru, poprzedzający armje germańskie (niemieckie), działał na słabych, jak wzrok węża, hipnotyzującego trzęsącą się ze strachu ofiarę przed ogarnięciem jej śmiertelnym uściskiem (Samsonow, Rennenkampf). Wystarczy jednak oprzeć się temu wycieńczającemu siły wpływowi, aby wyjść zwycięsko. Już Cezar powiada, że „metody germańskie mogą być dobre wobec niedoświadczonych barbarzyńców, Rzymian jednak na nie nie nabierze". Bałwochwalcom strachu trzeba tylko okazać, że nie dla wszystkich jest on najwyższym autorytetem. Wtedy pokornieją. I to radykalnie, jak dowodzi historja.

* * *

Niemcy Zdziechowskiego są światem ducha. Natomiast Niemcy Arciszewskiego są światem żelaza. Ponieważ z za czerwonych murów koszar niemieckich rozlega się echem potężnym okrzyk: „Sieg-Heil", uczmy się dokładnie używać Zbyszkowego topora...

[1]) M. Zdziechowski „Niemcy". Szkic psychologiczny. „Przegląd Filozoficzny". Rocznik 38. Zeszyt I-II. Warszawa 1935.

[2]) Stanisław Rola-Arciszewski, podp. dypl., „Sztuka dowodzenia na Zachodzie Europy", Warszawa 1934. Główna Księgarnia Wojskowa.



Z poezji słowiańskiej

ALOJZY GRADNIK

Mój żywot

O, wirze życia, co się szumnie pienisz,
ty, wino ciężkie w upojnej goryczy,
które ból tylko ukrywasz w słodyczy
i czarne niewiar i fałszów nasienie.

W nieukróconym młodość niepokoju
w pobliże twe i moje gnała kroki,
aż chwiejąc się przez śnień i tajni mroki
otwarłem złote twych dworów podwoje.

Przy tobie czekał długi rząd służalców,
toczyli ciebie jedni w czasze, inni
w naczynia płytkie, w głębokie kielichy.
Dwoje rąk próżnych miałem za naczynie,
chwytałem cie i w jakimś smutku cichym
piłem, a tyś ściekło mi przez palce...

Ze słoweńskiego przełożył
ZDZISŁAW KEMPF, Kraków.



Fot. Konrad Hoffman.

KONSTANTIN WIELICZKOW

Z „Sonetów carogrodzkich"

Niżej uliczek ciasnych pełnych cieni
Na Iskjudarze w upale tonącym
Wstrzymał nas biedny sprzedawca dereni:
„Kupcie, ja jestem muadżir — wychodźca!"

Z szczytu Czałamdży z duszą oniemiałą
Z radości, wpijam wzrok oczarowany
W pełną rozkoszy, dziwną panoramę:
Lśni Bosfor w całej swej krasie wspaniały.

W ekstazie takiej, w tem oszołomieniu,
Gdzie dusza szuka Boga — swego pana,
By chwałę mu odprawić na kolanach,

W tym błyskotliwym, przeogromnym wirze,
Gdy duch mój błąka się bez nasycenia —
Ja myślę wciąż o biednym muadżirze.

Z bułgarskiego przełożył
ZDZISŁAW KEMPF, Kraków.

ST. MICHAJŁOWSKI

Lama sabachtani...

Cięży mi, Boże, srodze krzyż żywota
Ducha mi boleść przytłacza i konam...
I widzę Ciebie w blasku Twej Golgoty —
Szepcę Twe słowa przed śmiercią mówione...

Żyłem wśród tłumu sam — nie rozumieli;
Wszystko, co jasne i co dobre we mnie
Rozdałem... Oni duszę wziąć mi chcieli,
Na barkach czarne zostawili brzemię.

Krzewiłem miłość — tępiłem złość ziemi!
Opuszczam teraz świata targowisko
I szukam, Panie, u Ciebie osłony.

Tak jastrząb kulą łowcy ugodzony
Kona gdzieś w kącie samotnym i niskim
Z oczami zawsze w niebo utkwionemi.

Z bułgarskiego przełożył
ZDZISŁAW KEMPF, Kraków.

OTAKAR THEER

Z „Wypraw ku Ja"

Trąbka obozu wiosny wichrzy się triumfalnie
i wszyscy czekają powrotu młodych ptaków,
w ich piórach się zachwieją pieśni równikowe
i gdy przylecą do nas, wszystkie miłości wiosny,
na śmiejących pobrzeziach chorągwie wywiesimy
i będzie ziemia nasza dyszeć rytmem świątek,
świątek, które są białe jak sny zaręczonych.

Śpiewajcie mi pieśni o woniach wielkanocnych!
Śpiewajcie mi pieśni o słońcu i barwinku!
Wszystko jest prostoduszne i pełne szczerości
i mirry pierwszych próśb ku nam spadają z nieba;
my, ptaki pijane szczytami najwyższego szczęścia
u bramy dni wiosennych kołyszemy się tęsknie,
nie znamy zawieruchy tej czarodziejki strachu,
szaleni urodą niebios i symfonją morską
u bramy dni wioesnnych kołyszemy się tęsknie.

I wszystko światłem będzie, co z naszych oczu zaświeci,
wszystko będzie muzyką, co z naszych piersi wionie.
Wszech-szczęście wcielimy w taniec pomarańczowych chorągwi
i młody Bóg nam odpowie zorzą myśli swoich —
od gwiazdy ku gwieździe chce błądzić nasza dusza,
by każdej z nich rzec o okrzyku wielkanocnych woni.

Z czeskiego przełożył
ZDZISŁAW KEMPF, Kraków.



Fot. Jerzy Jaworczykowski

ALEKSA SZANTIĆ

Jesień

Minęła burza, żądze się ściszyły
I miłość z niemi bliższa swego skonu;
Inaczej teraz twoje oczy płoną —
Niema w nich dzisiaj ni władzy, ni siły.

Ja słyszę: ciszej nasze serca biją,
Uścisk twej ręki już nie jest z dni owych,
Bez krwi i ognia, bez duszy, lodowy,
Zda mi się mówić: „lato nie ożyje!..."

Wszystko nam niegdyś obcem się zdawało,
O sobie tylko długośmy mówili,
Jedyna, wszystko inne jest w tej chwili:
Dziś wiemy wiele i mówimy mało.

Minęło lato!... Mglista jesień włada,
Śpiew się słowiczy w sercach nie rozśmieje,
Tam mroźny wiatr uwiędłą różą chwieje
I martwy liść po wzgórzach kędyś pada...

Z serbskiego przełożył
ZDZISŁAW KEMPF, Kraków.

Wśród książek

ILJA ERENBURG: „Dzień Wtóry". Nakładem „Roju", Warszawa 1935. Str. 308.

Stary drobnomieszczański komunista recte komunistyczny burżuj — Ilja Erenburg, opisujący z takiem smakoszostwem zgniliznę Zachodu, zapluty analityk, musiał wreszcie napisać coś ku pokrzepieniu sowieckich serc, a na postrach „faszystom".

Do przeszłości bowiem należy już w Rosji epoka, gdy naczelne hasło brzmiało: „pochierit" — dziś każdy prawowierny, a nawet „paputerik", czyli czwartobrygadzista w czerwonem wydaniu musi być twórczy, afirmatywny i optymistyczny. Musiał zatem i stary Ilja zamiast negacji dać coś radosnego, entuzjastycznego, ufnego. — Tak powstał „Dzień wtóry".

Przeniesiono nas do syberyjskiego Wolska, oglądamy in statu nascendi jeszcze jeden „dnieprostrój". Jest źle — zimno, głodno, wszystkiego brak, nawet narzędzi i miejsca w barakach, tylko brudu wielka obfitość. Na takiej oto glebie wyrasta świetlany kwiat entuzjazmu, a w konsekwencji szereg wielkich pieców i cowperów.

Właśnie „świetlany kwiat entuzjazmu" inaczej nie można tego określić, takie to nierealne, urzędowe, prawomyślne i lojalne. Co komunard — to ideał. Na pierwszy plan wysuwa się bohaterska postać niejakiego Kolki — „udarniku", postać stworzona podług obowiązującego szablonu, zatwierdzonego przez wydział propagandy kompartji. Kto był na sowieckim filmie „Turbina 50.000", postać tę zna — ten sam brygadzista - udarnik, poprostu sobowtór tamtego z filmu. Taki urzędowy bohater robi wszystko: buduje fabrykę, krzepi swoich współpracowników, tępi sabotaż, świeci przykładem, kieruje jaczejką, uczy się (w przeciągu kilku miesięcy z analfabety staje się prawie inżynierem), zadziwia zagranicznych speców i oczywiście zdobywa serce uświadomionej (w sensie politycznym) „udarnicy".

W cieniu bohaterstwa Kolki bytuje szereg podobnych ideałów, a patronuje im stary „podpolnik" ze stażem partyjnym z 1905 roku — już nawet nie bohater, lecz poprostu chodzący ideał.

Są oczywiście i „czarne charaktery" — to kontrrewolucjoniści i „lineńcy".

Współczesna literatura sowiecka nie zna innych barw poza radosną czerwienią i ponurą czernią. W tym swoim prymitywizmie zbliżyła się do poziomu naszych brukowych powieści; albo ideał, albo kanalja. Cała różnica polega na tem, że tu uproszczenia wymaga mało inteligentny czytelnik, nie rozumiejący człowieka z pewną ilością wad i zalet, a żądający świata bohaterów i czarnych charakterów, tam zaś wymaga podobnego prymitywizmu racja stanu i mądrość czerwonych władców. W tym jedynym wypadku sprawdziło się słynne powiedzenie Lenina, że w ustroju sowieckim państwem będzie mogła rządzić nawet kucharka. Wprawdzie państwem nie rządzi, lecz duch kucharki rządzi się na czerwonym Parnasie.

Erenburg uległ. Subtelny obserwator burżuazyjnego świata, dostrzegający tam najlżejsze pół i ćwierćcienie, na gruncie Z. S. S. R. zaniewidział — dał nam jeszcze jedną nudną, nierealną szmirę, jeszcze jedną bajeczkę dla starych czerwonych dzieci z tej i tamtej strony kordonu. K. HAŁABURDA, Łódź.

AXELA MUNTHE: „Czerwony krzyż i żelazny krzyż".

„Zdradzieckie wtargnięcie i bezlitosne niszczenie spokojnego kraju ma swoją nazwę. Ale jak nazwać nienawiść, która wkradła się do dziecinnego pokoju?... Jak mamy nazwać mordercę lalki?" — oto pytanie, rzucone przez lekarza Czerwonego Krzyża, opowiadającego w książce Axela Munthe — „Czerwony krzyż i żelazny krzyż" — o tem jak Niemcy podczas wielkiej wojny mordowali nietylko bezbronne kobiety, starców i dzieci (Dinant)... Zaspokojenie gwałtownej żądzy zniszczenia znajdowali także zwycięzcy w programach pokojów dziecinnych... w masowych rzeziach lalek.

Jakąż wymowę ma ta bezsilna złość barbarzyńcy, nienawiść, żywiona względem zabawek, za to tylko, że ośmieliły się być francuskiemi?!

Na małej przestrzeni, zaimprowizowanego w zburzonym kościele, szpitala wojskowego rozgrywają się sceny niecodzienne; wśród nich grozę budzi serja zgonów ofiar wysadzenia mostu. Umierają w męczarniach i Niemcy, znajdując w obliczu śmierci nagrodę lub karę za swe czyny, swoje niebo czy piekło na ziemi.

Bezgraniczne, chrześcijańskie miłosierdzie doktora Martin'a każe mu z równą troskliwością i przebaczeniem zamykać oczy bohaterskim obrońcom słonecznej Francji, jak i znękanym, fantasmagorją wyrzutów sumienia, najeźdźcom.

Z tego samego ducha poczęty jest uczynek dobrowolnej pielęgnarki rannych, wieśniaczki Józefiny, układającej do snu wiecznego śmiertelnie rannego zabójcę jej syna, młodego niemieckiego żołnierza.

Poczucie przepaści między dwoma, moralnie różnemi światami, zamyka miejscowy wiejski lekarz, zarazem mer, w gorzkiej konkluzji: „Prawdą zaś jest, że ci ludzie nie są tacy sami, jak my. To są Hunnowie, barbarzyńcy i nic więcej".

Głos Axela Munthe jest w atmosferze dzisiejszej, „pacyfistycznej" Europy czemś nieoczekiwanem. Niemniej w modlitwie błagalnej o pomstę Bożą na wiarołomców słyszymy znajome akcenty: „Azaliż mało jeszcze złamanej wiary w strzępach obietnic danych Tobie i ludzkości? Azali nie dość jeszcze krwi na ich rękach?... Czemuż trwasz w ciszy dzisiaj, gdy oni wołają, że są narodem, wybranym przez Pana, i burzą Twoje świątynie w imieniu swego Boga, który nie jest naszym Bogiem!".

Od czasów „Czterech jeźdźców Apokalipsy" Blasco Ibaneza pierwsze to, z równą siłą rzucone, słowo: — Oskarżam! — podobnie trafne i głębokie jak ujęcie różnic, dzielących chrześcijańską kulturę narodów romańskich od - pogańskiego w gruncie rzeczy - hodowlanego trybu życia prusactwa. Inna rzecz, że autor dostrzega autentycznych ludzi nietylko z imienia i po przeciwnej stronie barjery. Gest wdzięczności dogrywającego Bawara, życiem płacącego za dobre słowo niedawnemu wrogowi, jest tego wymownym dowodem. Autor potrafi wznieść się na wyżyny szczytnego przebaczenia. Proste — nie zabijaj! — brzmi w jego ustach z dziwnie przekonywującą siłą, odzyskanej na nowo, chociaż odwiecznej prawdy.

Przekład z angielskiego zadawalający, choć mylnie nazywa p. Aleksander Dobrot domek wiejskiego proboszcza — „prezbyterjum" (powinno być — „plebanja", co znaczy „prezbyterjum" — wiemy wszyscy). J. Tek., Warszawa.

Pod światło...

Konjunktura mętnej wody

Motto: — Słyszycie trzask złowieszczy?...
Tron mój trzeszczy!
J. Kasprowicz — „Marchołt".

Kto dzisiaj może twierdzić, że w Polsce nic się nie zmieniło i nie zmienia?... Chyba nikt. Ludziska wyznać się nie mogą w tem wszystkiem, co dziś się dzieje. Nowy mityczny labirynt. Któżby przypuszczał, że czas tak krótki tyle zmian różnorodnych przyniesie!

W „radosnym" kosmosie, gdy zgasło słońce, panują dziś coraz większe mroki, zamieszanie, chaos, rozkład, wzajemne ujadanie, lament, katzenjammer...

P. Świtalski narzekał niedawno, że dwa „świeżo z doków wypuszczone okręty" — jeden z nową konstytucją, drugi z nowym rządem — dzisiaj mijają się i to na dość znacznej odległości". Dopiero inni musieli go uspokajać, że tak źle nie jest.

Nikt jednak z wyznawców „radosnej twórczości" w Polsce nie zdobył się na taki pesymizm, jakiemu dał wyraz p. Malski w Senacie.

„W życiu publicznem — mówił on — zazaledwie zdążyliśmy nawiązać do czasów saskich. Jest u góry warstwa kilkudziesięciu tysięcy ludzi, którzy jedzą, piją i popuszczają pasa, a obok nich nędza i ciemnota. Cynizm przeżarł wszystkie komórki naszego życia.

Pozostawiliśmy jako hasło — prawo, ale to jest często tylko formuła. Nie umieliśmy dać innej idei, która tworzy życie nowe."

Zaiste, pełne tragizmu są te wyrzuty sumienia.

Nie sądźcie wszakże, że te wewnętrzne zgryzoty trapią tylko pp. Malskich, lub innych ludzi „z boku". O, nie. Nawet zawsze radosna (nie z powodu czystego sumienia) pułkownikowska „Gazeta Polska" na łamach swych w smętnej liryce Wojciecha Bąka pt. „Dzień stracony" kaja się w bojaźni i żalu:

„Tych kilka lat niepowtarzalnych
Oto początek i kres drogi.
Dzień ściga mnie, noc grozi strachem —
Tak czas przeraża mnie złowrogi.

Bo cóż zrobiłem? Nic przedemną —
Trochę zgliszcz, garstka mdłych szpargałów..."

Dobra jest to jednak rzecz nie opuszczać rąk w nieszczęściu.

Podziwu godny jest pod tym względem p. Tytus (bynajmniej nie Rzymianin) Filipowicz, który **totis viribus** w całym kraju nieci świętej wiary płomienie w ojczyzny zbawienie swojemi filipikami. Do niedawna „cichy był i pokornego serca" poddany, aż tu nagle wyskoczył, jak... Filip-owicz, apostołując „Nakazy Dnia" w Narodzie (dużą literą, a jakże!) i wierząc, że „Naród pójdzie, musi jedynie znać program realny i uświadomić go sobie."

Program, którego „łakną masy"... Program „bez naleciałości przestarzałych, cuchnących konserwatyzmem", pachnący natomiast „radykalizmem".

Jakiż to program?

„Protegowanie rozwoju naszych braci pod każdym względem, tak, iżby stali się elementem twórczym i dominującym u siebie — oto główna wytyczna „hasła narodowego" (p. „Nakazy Dnia", nr. 3, artykuł p. t. „Prawda w naszej ideologji").

A myśmy myśleli, że „protegowanie" wreszcie się skończy — zarówno „naszych" (tych z Nalewek), jak i „braci" (tych z loży)...

Za przykładem p. Filipowicza ruszyło w lud wielu innych proroków „Jedności Narodowej" (wzgl. „Zjednoczenia Narodowego") i różnych nowych kombinacyj „opozycyjno" - „narodowych". Zapytajcie jednak o stosunek do Obozu Narodowego i do żydów. Z mniej lub więcej szczerych odpowiedzi wyczujecie, że „endeków" nie cierpią o wiele więcej, niż... „cierpią" żydów.

Konjunktura jednak na robienie „opozycji" jest, więc dlaczegóżby w zamąconej wodzie ryb nie łowić? Nawet pułkownicy mówią dziś o „kiereńszczyźnie".

Ukazały się pierwsze dekrety gospodarcze rządu. P. min. Kwiatkowski dotrzymał narazie przyrzeczenia, iż „nowych pożyczek wewnętrznych nie będzie". Są za to nowe podatki.

Niewiadomo, jak dalece uda się eksperyment, mający zadać kłam słuszności przysłowia: „Z próżnego nawet Salomon nie naleje". Wysiłki w tym kierunku są olbrzymie. P. premjer i wicepremjer usiłują poprzez prasę i radjowe oracje wywołać entuzjazm dla nowego wyścigu — tym razem wyścigu podatków, tak, jak przedtem, był wyścig „radosnej twórczości".

Skierowano apel „do świadomości abywatelskiej" płatników podatkowych, m. in. również urzędników. Ale właśnie urzędnik, chociaż bardziej w „świadomości obywatelskiej" wyrobiony od „szarego człowieka", wolałby w dalszym ciągu uiszczać swe „świadczenia obywatelskie" kredytem zaufania i „bezpartyjnej" lojalności, niż gotówką ze swojej pensji. Naruszenie kieszeni urzędnika uszczupli niewątpliwie kapitał zaufania i lojalności. Są już tego przykłady.

Oczekiwania na redukcje w budżecie państwowym spowite są narazie w mgły nieskrystalizowanych zapowiedzi i niepewności. O oszczędnościach mówi się bardzo dyskretnie. Wtajemniczeni twierdzą, że istnieje ponoć zamiar powołania komisarzy oszczędnościowych. Wynagrodzenie ich pokryłoby się zapewne z sum urwanych, a raczej „zaoszczędzonych" z budżetu. Istotnie, pomysł to wcale niezły, bo ci komisarze dawaliby niewątpliwie osobiste gwarancje przeprowadzenia „oszczędności". (sc)

O co chodzi?

Nastraja się obecnie instrumenty gry politycznej, popuszczając struny, w ten sposób, by koncert muzyki, oparty na motywach narodowych, wypadł unisono. Jeszcze co niektóre pierwsze skrzypce wyciągają dość wysoko stare, oklepane melodje, bez wigoru jednak i zacięcia, a z tremolandem.

„Wtórki" nie stroją, czy nie chcą stroić, wypuszczają z pod palców tony mocne, ostre i znamienne, nieznane dotychczas w tak zgranym (do nitki) zespole.

Gdy się koncertowało pod batutą, to „bacznościowe" „kawałki" mniejsza jak, ale wychodziły (akustycznie, na zdrowie ustroju niebardzo), teraz zbyt „wielu cymbalistów" i kakafonja. Bez najmniejszego taktu piłują dalszy ciąg skończonej pieśni stetryczali harfiarze.

A audytorjum drzemie — „głuche słuchy". Więc na gwałt kompletuje się stygnące grono „Kulturdüngerów", sypie się „liściem bobkowem" na prawo i lewo, bez zastanowienia, byle więcej, byle raźniej, byle weselej i głośniej w akordzie finalnym i „kupą mości panowie".

Wyszperano dwie setki i dwudziestu pół-bogów, pół - nieznanych, a mających czoło do ozdoby i — hosanna ludowi wybranemu! Klękajcie narody! („A komu droga otwarta do nieba, tym co służą ojczyźnie"). I w konsekwencji śmiech na sali!

Gaffa! Wawrzyny na skroniach pp. Opałków, Koszałków, czy innych naczelników straży ogniowej, mogą ich usposobić mestozo, jeżeli mają jakie takie poczucie swej efemerydalności.

I znów na żywym organizmie ludzi zasłużonych dokona — „viviselekcji", rozgraniczenia, separacji od „myśli narodowej", a z resztą „familjada", zbratanie, adoptacja i uciecha, że się opornym „bobu nie zadało".

Czy wieńczenie ludzi, którym nieraz wcale na tem nie zależy, jest na miejscu, czy to są problemy z zakresu kultury palące, czy życie duchowe narodu jest tak pełne, wyraźne i bez zastrzeżeń? — że Polska Akademja Literatury urządza swoim „kadzielnikom" „święto wawrzynu" i bawi ogół swego rodzaju „rozrywkami umysłowemi" na temat: za co tego, a dlaczego tamtego nie „uwawrzyniono"?

W przeddzień ogłoszenia urzędowego wykazu osób, podlegających naccchowaniu „wawrzynem", ukazała się rzeczowa krytyka wypaczonej umysłowości ludzi, na barkach których spoczywa ciężar pielęgnowania kultury narodowej. („Organizacja kultury w Polsce", Stefan Kołaczkowski, „Marchołt" nr. 5).

Ta nawskroś radykalna krytyka nie odbiła się najlżejszem echem tam gdzie należy (o tyle jedynie, że nie zaszeregowano autora w ordynek zasłużonych).

Pozwolę sobie zacytować kilka zdań z tej pracy, zdań mocnych, ostrych i znamiennych, skierowanych do „rzekomej inteligencji", do „panów polityków", do tych wszystkich, którzy „uprawiają" „gołosłowne wzywanie do ufności na podstawie okólników", a „wyrabiać tylko mogą frazeologję, którą łatwo pokryć pustkę, ciemnotę, oportunizm, bezmyślność biurokratyczną i obłudę":

...„**Żyjecie ideologją Marszałka Piłsudskiego. Ale zapominacie o jednem: że nikt nie może żyć cudzem życiem i że lata nie stoją, że w życiu nic nie można powtórzyć, a jeśli się coś usiłuje powtórzyć, to osiągnie się fałsz rzeczy mechanicznych". „Ideologja Marszałka na dziś?" „...Niema żadnej iedologji Marszałka, już się spełniła — rzeczywistość, która wymaga czegoś innego, niż tego, czem żył legjonista".**

I w innem miejscu na marginesie „bezideowości" dnia dzisiejszego zauważa autor, wołając o ideologję: „Niemasz innej rzeczy, któraby nadała cel i sens ożywczym ruchom, któraby scalała i spajała prócz ideologji." „Bez przykładu, jakim stal się „Legjon Młodych" wiadomo było zgóry, jaką rolę może odgrywać urzędowa ideologja".

J. TOM.



„Wenecja" Stefanoff G. Mendoly

Z WYDAWNICTW REGJONALNYCH
Wici Wielkopolskie

W „Wiciach Wielkopolskich" (styczeń 1935) w artykule Marjana Turwida p. t. „Świat zabity deskami" czytamy:

„Pomiędzy centralą życia polskiego a polską prowincją niema kontaktu. Prowincja, systematycznie bagatelizowana, pogardzana i odtrącana, przestała... i t. d.

Jak widzimy, chodzi o wymianę dóbr kulturalnych między różnemi dzielnicami Polski, między stolicą a prowincją szczególnie. „Dla większości redakcyj wspomnianych (warszawskich) czasopism" — pisze Turwid — „ważniejszą daleko jest sprawa jałowych dyskusyj pieniaczy literackich, niż oświetlanie i badanie zagadnień, mających istotne znaczenie dla dla całej kulturalnej Polski". „Zamiast badać i szeregować rodzące się na prowincji wartości kulturalne, prasa stołeczna zgóry przekreśla wszelką możliwość ich istnienia".

Właśnie temu brakowi kontaktu między stolicą, a prowincją zaradzić chce i jest pod tym względem na dobrej drodze — regjonalizm. Turwid daje przykład, że nie pisma warszawskie są dziś autorytetem, ale może nim być skromny, mały miesięcznik prowincjonalny. „Polski ruch regjonalny należy do najżywotniejszych w Europie." „Dziś prowincja zabiera głos i nie wolno tego głosu bagatelizować."

Jeżeli chodzi o regjonalizm, to właśnie „Wici Wielkopolskie" są na tem polu wielce zasłużone. Wymieniony artykuł był jakby wstępnym artykułem, jaki redaktor miesięcznika p. Turwid pisze zawsze na początku roku. Ktoś inny byłby świetnie wykorzystał moment dla autoreklamy. Ale „Wici" są skromne i ich redaktor też. Niechże więc mi będzie wolno spełnić obowiązek człowieka kultury i kilka słów o piśmie tem powiedzieć.

„Wici Wielkopolskie", miesięcznik poświęcony sztuce i kulturze, wychodzą piąty rok. Wydaje je Andrzej **Prądzyński** z Wrześni. Wśród współpracowników widnieje szereg znanych nazwisk, jak np. Czesław **Kędzierski**, Witold **Noskowski**, Alfred Jesionowski, Stanisław Helsztyński, Alfons Szyperski, Józef **Birkenmajer**, A. M. Swinarski, Juljusz Znaniecki, **Sztaudynger, Zaleski, Czernik, Deresiewicz**, X. Zakrzewski, **Janta - Połczyński, Bąk**, Jerzy **Bandrowski** i wielu innych.

Pismo owem właśnie „badaniem i segregowaniem wartości kulturalnych", rodzących się w Wielkopolsce, rzetelnie przyczynia się do wymiany tych wartości z innemi dzielnicami Polski.

LEONARD TURKOWSKI, Poznań.

(Dokończenie ze str. 1-ej)

Zastanówmy się nakoniec nad społecznemi skutkami i wartościami tej publikacji. Gdyby ona zyskała szeroką poczytność, nie ze względu na sensację, jaką stanowi, ale na mmoenty istotne, **byłaby jednem z najszkodliwszych zjawisk społecznych.** Padając na glebę umysłów bezkrytycznych, niesamodzielnych, przeciętnych, mało odpornych — 1) wypaczyłaby smak estetyczny całej masy czytelników, zadecydowałaby fatalnie na czytelnictwie literackiem i na typach tegoż czytelnictwa; 2) rozsiałaby niewiarę społeczeństwa do dzieł swych najwybitniejszych i najwartościowszych twórców i myślicieli, którzy je istotnie kształtują i wychowują (wystarczy chociażby zwrócić uwagę na stosunek Lechickiego do Wasilewskiego i Perzyńskiego — bardzo ujemny i sceptyczny), wszczepiłaby jad talmudyzmu, ograniczyłaby i obniżyłaby m o r a l n o ś ć z b i o r o w ą, albowiem ad 1) z tej książki literatura wychodzi zdegradowana, spostponowana, sponiżona, zbanalizowana, strywializowana, odarta z czci i uroku; ad 2) z tej książki wieje duch nihilizmu sekciarskiego.

„Index librorum prohibitorum" — oto właściwe miejsce dla „Przewodnika po beletrystyce".

MARJAN ŁEBKOWSKI, POZNAŃ

Z OPERY

I. Poranek symfoniczny. — Róża Stambułu.

Wprowadzenie poranków symfonicznych odgrywa wielką rolę w umuzykalnieniu społeczeństwa. Byłoby rzeczą pożądaną, aby dyrekcja opery udostępniła jak najszerszym warstwom publiczności zaznajomienie się z nową polską twórczością, nie pomijając oczywiście utworów koncertowych dawnych — Karłowicza, czy Noskowskiego, nie mówiąc już o twórczości szopenowskiej.

Pierwszy poranek symfoniczny, aczkolwiek pominął rodzinną twórczość, zakrojony był na wielką skalę, odnosząc w zupełności zasłużone uznanie wypełnionej sali. Orkiestra, świetnie prowadzona przez dyr. Latoszewskiego, wykazała wszystkie swoje walory zarówno w „Niedokończonej Symfonji i „Rozamundzie" Schuberta, jako też w „Walcu" Ravela, obfitującym w skomplikowane konfiguracje i oryginalne współbrzmienia.

Jedyny defekt, – to brak odpowiedniej ilości smyczków, który stale dokucza dobrej zresztą poznańskiej orkiestrze.

Solistką wieczoru była p. Arranyi, słowacka pianistka, która wykazała w koncercie Mozarta wielki spokój i opanowanie, oraz dużą kulturę i zdolności interpretacyjne.

„Róża Stambułu" — to już druga operetka w bieżącym sezonie, mniej zresztą udatnie wystawiona, jak poprzednia (choć wcale niezła i bogata pod względem melodyj). Okrasą jej są piękne dekoracje i gra p. Sendeckiego, który jednak czasami przeholowuje (niepoprawny p. Sendecki!)

Głos i gra p. Szerszyńskiego nadają się raczej do podrzędnego teatrzyku. Na szczególną uwagę zasługują poza tem pp.: Kaupówna, Kisielewska, Cirin i Horski.

Adres Redakcji: Poznań, św. Marcin 65. Konto P. K. O. 201 410. Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65.

PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką): miesięcznie 0,70 zł, kwartalnie 2,— zł, półrocznie 4,— zł, rocznie 8,— zł.

CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł, ½ strony — 130 zł, ⅓ strony — 90 zł, ¼ strony — 70 zł, ⅛ strony — 40, zł, 1/10 strony — 30 zł.

Przedstawiciel redakcji w Łodzi — Konstanty Dobrzyński (Piotrkowska 91), we Lwowie — Aleksander Kośmiński (św. Zofji 50), w Krakowie — Jan Bielatowicz (Uniw., Coll. Novum). w Wilnie — Stefan Łochtin.

Rękopisów nie zwraca się. Rękopisów nie zwraca się.

Redaktor naczelny i wydawca: Jan Wyganowski. Red. odpowiedzialny: Władysław M a c i ą g, Poznań.

Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Spółka z o. o. Poznań, ulica Strzałowa 2 a.